



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

KILKA SŁÓW O KOBIECIE ŁUŻYCKIEJ

skreśliła

Melania Parczewska.

Zasłużony na polu słowianoznawstwa Wilhelm Bogusławski, kreśląc rys dziejów Serbów łużyckich, w takich słowach opisuje Łużycanki: — „kobiety serbskie celują pracowitością i moralnością w pożyciu domowym, oraz przechowywaniem ojczyznych zwyczajów i mowy.” Słowa te nie są czczą pochwałą, bo taka wyjść-by nie mogła z pod pióra sumiennego i gorliwego badacza dziejów łużyckich. Bogusławski bawiąc dłuższy czas na Łużycach, miał sposobność poznać i ocenić te ciche domowe ogniska, przy których kobiety wychowują przyszłych serbskich patriotów. Jeżeli gdzie właśnie, to na Łużycach, opasanych żelazną obręczą przemocy niemieckiej, dom jest prawdziwym ogniskiem, przechowującym iskrę uczuć świętych i skarbnicą drogich sercu pamiątek. Łużyce, przez wieki całe systematycznie, z niemiecką dokładnością wynaradawiane i gnębione, nie tylko do dziś nie zatraciły cech słowiańskiego pochodzenia, lecz przeciwnie, na zgłiszczach oblanых krwią i łzami stuleci rozbudziło się uczucie silniejszej samowiedzy i biedny ten, napierany przez fale Niemczyzny lud, kształci i rozwija swój język, stoi silnie przy ojczyznym obyczaju.

Na początku stulecia na setki zaledwie liczone tam mówiących ojczyznym językiem, obecnie, dzięki niezmordowanej pracy szlachetnych przywódców narodowego odrodzenia, Łużycanie posiadają swoje piśmiennictwo i literaturę. Pozbawie-

ni życia politycznego, na drodze wewnętrznej, organicznej pracy postępują coraz wyżej i w ogólnym cywilizacyjnym pochodzie biorą żywy i czynny udział. Czemu dzisiaj są Łużyce pod względem literackim i narodowym, zawdzięczają to bez zaprzeczenia pracy kilku jednostek. Ci to ludzie: zmarły już dziś Jan Ernest Smoler, z żyjących ks. Hornik, pastor Imisz, dr. Muka, wraz z garstką mniej znanych, lecz równie zasłużonych, na ramionach swoich dźwigają historią odrodzenia Łużyc. W epoce, kiedy Smoler, na ławie gimnazjalnej siedząc, zachęcał towarzyszy do poznania i pokochania języka ojczyznego, w szkołach zaledwie czytać poserbsku uczono, o pisaniu nawet i mowy nie było. Chaty wieśniacze były jedynym przybytkiem, z którego nie wypędzono serbskiej mowy. W domu też tylko Smoler wsłuchiwał się w jej dźwięki, a matka, skromna, zadowolona żona wiejskiego nauczyciela, była jego pierwszą i najlepszą mistrzynią. Podobnie, jak Smoler, kształcili się i rozwijali wszyscy jego towarzysze. Pacierz odmawiany w języku ojczyznym, zapamiętane piosenki i legendy o dawnej świetności narodowego bytu—to wytworzyło iskrę zapалу rzuconą w pierś młodzieży, która z młodzieńczą gorącością i wiarą w siły swoje, z nadzieją, że jednak praca usilna zawsze czegoś dokonać może, rwała się do pracy odrodzenia narodowego. Wspomnienie domu, schłodzonych, zielenią ogrodów otoczonych chat, w których matka w dużym, białym opasnym czepcu, piekła *tykwańce* przybyszom na wakacje młodzieży, towarzyszyło im wszędzie, przebiegało nawet wyniosłe, twarde mury uniwersyteckich auli Lipska i Berlina.

Nie będzie też przesadą, gdy dodam, że te skromne wieśniaczki łużyckie pielęgnując dawne zwyczaje i mowę ojczyzną, bezwiednie kładły pierwsze podwaliny do budowy gmachu dźwigającego się z popiołów nieszczęśliwej przeszłości. Gdzie matka była Niemką, lub przez zetknięcie

z Niemcami, przez pobyt w miastach już niemieckich, przestała czynić z chaty swojej twierdzą dla myśli i mowy ojczyznej, tam wychowana młodzież już nie rwała się potem do obrony sprawy narodowej. Lecz na szczęście na Górnych Łużycach, gdyż o nich tu właśnie mówimy, lud z natury konserwatywny, zachował wiernie wszystkie zwyczaje i najdłużej oparł się i opiera dotąd germanizacji, a ruch wyszły głównie z dworów nauczycieli wiejskich, już wydał owoce i oto po upływie kilku dziesiątków lat wychowały się już i wykształciły pokolenia ludzi myślących i dobrze rozumiejących swoje obowiązki. Usilna praca wytrwałego gronka inteligencji przyniosła swoje owoce. Lud cały czyta, pisze i rozumie dobrze to, co dla niego jest pisaniem. Kilka pism peryodycznych, dobrze i umiejętnie redagowanych, roznosi na wioski łużyckie promienie ożywcze światła. Łużycki wieśniak, właściciel kilku mórg dobrze uprawnej roli, wróciwszy po całodziennej pracy do domu od pług lub sierpa, zasiada za stołem i zgromadzonej rodzinie odczytuje świeżo nadeszłe dzienniki. Żonę jego, również, a może więcej, obchodzi drukowane słowo i chwytą z zajęciem wiadomości, bądź to o składkach zbieranych na cele wzajemnej pomocy, bądź o urządzanych przez przybyłą na wakacje młodzież teatrach amatorskich. Naturalnie, że ogólnie biorąc, Łużycanki pod względem inteligencji i zrozumienia obowiązków obywatelki, nie można jeszcze porównywać naprzykład z Czeską, bo kobiecie łużyckiej podobnie, jak całej tej krainie, długie wieki imponowała i imponuje dziś jeszcze wyższość cywilizacji niemieckiej. Zamknięta w obrębie wioski swojej, oddana gospodarstwu, ośmieszana przez Niemców za swój strój i język, przyzwyczajona do wzgardy, jaką jej przy każdej sposobności ci Niemcy okazują, Łużycanka uważała się i poniekąd uważa jeszcze, za co niższego, przeznaczonego z góry na byt podrzędny, toczący się dołem spraw świata, wśród któ-

rego góruje Niemiec. Nic dziwnego, że przy takich warunkach następuje nieraz wspomniane wyżej wynaradawianie się kobiety łużyckiej. Córki bo bogatszych wieśniaków, oddane w braku wyższych szkół łużyckich na niemieckie pensjonaty do Budyszyna, otoczone gronem Niemek, które szyderstwem najwięcej oddziaływają na młode umysły i zagłuszają głos serca mogą zatracić uczucia narodowe i wcielają się w żywioł niemiecki.

Fakta te, nie mogą jednak orzekać o przyszłości kobiety łużyckiej. Podobny stan rzeczy był przed laty i w Czechach, a jednak dzisiaj, ra jakie gorące i tkliwe do „vlasti” przywiązane istoty kształcą się i rozwijają Czeszki, jakże godne i rozumne towarzyszkich życia znajdują w nich mężowie czeskiego narodu! Obok Łużyczanki inteligentnej, przybywającej z niemieckich pensjonatów do wioski rodzinnej z zatraconem poczuciem narodowości, dziwnie jasno, świetlanie, rzec można, odbija postać wieśniaczki ze czcią pielęgnującej wiarę i przekonania ojców. Łużyczanki, znane dotąd i uważane przez Niemców tylko jako zdolne i sumienne służące, których corocznie z ubogiej klasy liczne zastępy przybywają do Drezna, mają w swoim gronie kobiety zasługujące na bliższe poznanie i ocenienie. Kobiety te nie myślą o rozgłosie, który przecież niejedna może nawet niechętnie pozyskała sobie. Imię zmarłej z 1877 r. Maryi Simonowej, znane było w całych Niemczech, ale zwykłą koleją rzeczy Niemcy przywłaszczyli ją sobie. Wszystkie dzienniki, szeroko sławiąc swego czasu zasługi zmarłej, oddane rannym w czasie wojny 1866 i 1870 roku, nie zrobiły nawet wzmianki, że była Łużyczanką. A jednak kobieta ta, której piers zdobiły krzyże i orderzy niemieckie, była i została do końca życia wierną swojemu pochodzeniu i swojej narodowej idei.

Marya z Janaszów Simonowa, przełożona zgromadzenia Albertynek, instytucji dobroczynnej, założonej przez następczynię tronu saskiego w celu niesienia pomocy rannym, którą królowa saska wyróżniła z całego grona pań, ozdobionych baronowskimi koronami, urodziła się w skromnej chacie wieśniaczej pod Budyszynem i tam jedynie wyrabiała się do czynów późniejszego życia, na którego pomoc dostała tylko trochę nauki, jaką jej dała szkoła ludowa. Wyszedszy za mąż, za kupca Simona, przeniosła się z nim do Drezna i tu, na jednej z oddalonych ulic miasta założyła sklepik z drobnymi towarami. Od najmłodszych lat odznaczała się dobrocią i tklivością serca. Znaną też była w swej dzielnicy przez wszystkich ubogich mieszkańców.

Rok 1866, pamiętny w dziejach Niemców, poruszył i nadelbiańską stolicę. Wojska saskie szły też do boju z Prusakami; byli tam i Łużyczanie, a panowało przekonanie ogólne, że będzie to bój zwycięzki. Zgromadzenie Albertynek wyruszyło za wojskiem; kobiety ciągnęły za armią Saską, a Marya Simonowa była w ich liczbie, bo wszakże znajdowali się tam i jej rodacy, którym trzeba było w chwilach cierpień, w chwilach często ostatnich na ziemi, usłyszeć mowę rodzinną, i zwierzyć w niej życzenia ostatniej swej woli. Kobieta była piękna, silnej, wyniosłej postaci, i gdzie się ukazała z krzyżem na piersiach tam nadzieja wstępowała w piersi nieszczęśliwych. Jej ramiona zdolne były dźwignąć osłabłego, jej słodkie łagodne oblicze obiecywało pociechę. Pod Kralowym Hradcem, Simonowa wśród świstu i gradu kul podnosiła i na placu boju opatrywała rannych. Wśród tej walki Niemców znajdowało się tysiące jej pobratymców. Byli z obu stron Polacy: z Galicyi i z Poznańskiego, byli przytem w szeregach austriackich całe pułki Słowaków, Czechów, a z tych bardzo znaczna część młodego żołnierza nie umiała wcale po niemiecku; i jakżeby im ciężko było cierpieć i umierać z niemotą okrutną na ustach, bez możności wyrażenia się z jakimkolwiek pragnieniem i ulgi żądaniem! Ona dla nich tu była i do nich śpieszyła też, porozumiewała się z nimi, jak mogła, tworzyła z nich gromadki oddzielne, aby im dać głównie tklivą pieczołowitość siostry, wraz z pocieszającym uczuciem, że jest przy nich jakaś krewna im istota. Niejeden z umierających

zdała od domu i rodziny, błogosławił ją też, pojąc się w ostatniej godzinie życia dźwiękami, choć zbliżonemi do rodzinnej mowy.

Po skończonej wojnie Simonowa z żalobą w sercu, bo pułki zwane przez Sasów Wendyjskimi, to jest pułki łużyckie bardzo ucierpiały, z krzyżem za zasługi na piersiach, powróciła do domu i swoich zajęć. I znowu, jak przedtem, siedziała w sklepie, mierzyła skromne swe towary, zapisywała rachunki. Krewnym i odwiedzającym ją znajomym z rodzinnej wioski, opowiadała żywo o epizodach walk i obrazach cierpień, jakich świadkiem była, i powędrowały one do chat wiejskich, aby tworzyć tam nowe legendy, jak młódz łużycka i pobratymcza marła, mordowana przez Niemców.

W kilka lat później nowa burza wojenna, zrywająca się nad Renem, odbijała się echem przeciągiem nad Łabą i zadrażało serce łużyckiej kobiety, bo znowu i teraz jej bracia i pobratymcy szli szeregami całemi na bój ciężki, aby padać w cudzej sprawie. Nie miała Simonowa dzieci własnych i całe serce oddała społeczności swojej. — I tam znowu będą padać i tam znowu będą umierać moi, więc mnie tam znowu trzeba... mówiła, żegnając się z mężem, opuszczając powtórnie dom i gospodarstwo. We wszystkich krwawych bitwach, poczynawszy od Saarbrücken aż do Sedanu, niestrudzona, pełna ofiarności kobieta przesuwała się wśród walczących szeregów. Nietylko siły swoje, ale i grosz nadsyłany z domu oddawała potrzebującym braciom. Doktorzy tak już znali jej umiejętność i gorliwość w spełnianiu podjętych obowiązków, iż zobaczywszy ją na sali wśród chorych i rannych, mawiali zwykle: — „No! tu już dobrze będzie, bo tu jest matka Simon!” Z poszanowaniem schylano przed nią głowy. A rodacy jej, widząc to rośli w dumę — oni biedacy, którzy uwierzyli już smutnie, że niższość i podrzędność już jest ich dolą. — „Wona je nasa! wona je Serbowka!”... mówili i dotąd mówi się tak o niej w nadłabańskiej krainie: z szacunkiem, miłością — z dumą.

(Dokończenie nastąpi).

ZABAWY DZIECI

w Zoologicznym Ogrodzie warszawskim.

Ubiegłe lato przyniosło miastu naszemu w zakresie wychowania nowość: zabawy dzieci, stale, tygodniowo urządzone w miejscu publicznym, w Warszawskim Ogrodzie Zoologicznym, zaprowadził je zarząd gdzie w celu powiększenia dochodu, potrzebnego na utrzymanie zwierzyńca. Jestto zapewne rzecz pożyteczna, aby Warszawa, na wzór innych większych miast Europy mieć go mogła, ale wychowanie dzieci jest samo sobie celem tak wielkim, że tu nie już służyć nie może za środek pomocniczy dla jakiegokolwiek rzeczy pobocznej, wyższego nawet znaczenia, niż posiadanie zwierzyńca. Chęci były niewątpliwie dobre, czy przecieź trafiono na po myśl szczęśliwy, pedagogicznie usprawiedliwiony? Powziętym on może został wskutek tego, że w święta i niedziele rodzice przywozili tu dość licznie dzieci, ciekawe ujrzenia tych zwierząt nieznanych, o których czytały, uczyły się, a których widok stał się dla ich rozbudzonej wyobraźni ciekawym. Aż dotąd była to zabawka pożyteczna, bo z pewnym naukowym względem złączona i pedagogicznie dobra, gdyż wyobraźnia, która jest władzą umysłu, potrzebującą tak jak inne odpowiedniego rozwoju, wzruszała się w sposób podobny, jak przy ulubionem dziecinem czytaniu o dalekich lądach i morzach, przedstawiając sobie te puszcze i lasy, wśród których przebywają oglądane twory. Ale takie wycieczki, zdarzające się kiedyniekiedy w skromnych warunkach zwykłego spaceru, a zabawy usystematyzowane, z charakterem wyraźnym zabawy — to różnica ogromna!

Nie jesteśmy posępnym narodem kwaków, w których-by potrzeba usposobienie w tym kierunku rozbudzać. Bawiliśmy się zawsze i bawimy dotąd zanadto, zabawa zabiera w życiu naszym miejsca za wiele — tak wiele, że znaczna część owoców pracy jej się na ofiarę oddaje, i to wytwarza ów stan niezamożności, braku zapasów, życia z chwili na chwilę, które sprawia, że klęski losu nie dają się następnie tak przetrzymać, aby nie tworzyły natychmiast mnóstwa ruin i nie pogrążały społeczeństwa w niedolę głębszą, niżby to być mogło, gdyby natury nasze były poważniejsze, więcej w sobie skupione, mniej żyjące nazewnątrz przyjemnych wrażeń używaniem. U nas zatem, mniej niż gdziekolwiek, nie godzi się dzieci rozbawiać, myśli o zabawie w młode umysły wprowadzać, — co przecieź nigdzie w dobrze prowadzonym wychowaniu pożądanem nie było i nie jest, lecz przeciwnie zawsze i wszędzie potępianem jest i być musi. Publiczne bale dzieci jakoby za przykładem Paryża do nas niedawno wprowadzone, wywołały gromiące głosy wszystkich prawie organów prasy i zapewne powtarzać się nie będą. Zabawy dzieci letnie, stale uorganizowane i publiczne, nie w swoich wpływach ujemnych, w szkodliwości antypedagogicznego charakteru od tamtych się nie różnią, i tylko powierzchownie coś z pozoru jest tu uratowaniem.

— Ogród, świeże powietrze, ruch wesół!... brzmi to lepiej, niż salon balowy, ale nawet tych korzyści jednostronnych nie zapewniały zabawy w Ogrodzie Zoologicznym. Jest on względnie ciasnym, nie daje dzieciom możności swobodnego rozbiegnięcia się wśród przestrzeni otwartej, a przedstawia wadę ogromną złego powietrza, które sprowadza sąsiedztwo zwierzyńca, więc dla samych już względów higienicznych nie może być obranym na miejsce stale się powtarzającego i liczniejszego zbierania się tam dzieci.

Zabawy letnie zostały urządzone z myślą o dzieciach, którym mniej przychylnie okoliczności nie pozwoliły wydalić się poza mury miasta, poza jego kurz i upał. Cotygodniowe wycieczki na świeże powietrze mają swój cel, złączony z korzyścią widoczną dla każdego — mają swoją wartość nieposlednią dla zdrowia, ale, jak widzimy, Ogród Zoologiczny nie posiada zgola warunków odpowiednich i spacer do Ogródu Botanicznego, do pobliskich Łazienek, Mokotowa, Wierzbna, o wiele więcej dzieciom na zdrowie wyjść może i przez drogę dalszą, rozmaitość większą, ubawi też, jak przypuszczam, więcej, a bezwarunkowo już — lepiej!

Przez ściśnienie w przestrzeni małej i zamkniętej Ogród Zoologiczny przybiera wszystkie pedagogiczne niekorzyści publicznego salonu. Ćwiczenia gimnastyczne mogą tu być udziałem tylko pewnej ograniczonej liczby dzieci; reszta, niezajęta, niemająca miejsca, aby się podzielić na grupy i oddać swobodnie jakimś grom wesółym, obraca się w kółko i przygląda sobie na wzajem, lustruje się i na odwrot jest na tę lustrację wystawiona, co jej nie pozwala na potrzebną swobodę, zwłaszcza, że publiczność otaczała zawsze tłumnie miejsce wyznaczone na zabawę dzieci. Publiczność ta — to głównie matki, rodzice, ale dla każdego dziecka z osobna to tłum ludzi obcych, który się zabawie jego przygląda i stanowi coś podobnego do widzów w sali teatralnej, na scenę patrzących. Chęć popisu, ten bardzo zły zasiew dla przyszłości — budzi się w dzieciach mimowoli; bardzo wiarogodni świadkowie zauważyli w dziewczynkach ruchy kokieterijne, w chłopcach widzieli wyraźnie, że pamiatają o oczach, które im się przyglądają.

Uczucie współzawodnictwa rozbudzało się i w piersiach matek; ubiory niektórych dzieci były bardzo wytworne i ogółem coraz to wytworniejsze, a choć mógłby ktoś powiedzieć, że dzieci miejskie są na takie oddziaływanie narażone wszędzie, że na przechadzkach, na ulicy, w kościele nawet spotykają się dzieci ubrane skromniej, z dziećmi wykwinutnie, drogo ustrojonymi, — ale to rzecz inna jeszcze. Tu perypetycznosć spotykania się ze sobą zaznajamiania pojedyncze jednostki, choćby o tyle tylko, że się oglądają wzajemnie.

jem, a że oględziny te rozszerzone są do publiczności starszej, tak dzieci, jak mniej rozsądne matki narażone są na niedobre poszepty próżności i złe skierowanej miłości własnej.

— Tak być nie powinno... dzieci nie powinny jeszcze znać takiego stanu uczuć, matki nie powinny ulegać słabościom takim... wtrącić znów może ów ktoś, któryby się ze mną sprzeczał, ale świat nie składa się z samych mądrych i świętych, dobrze chowanych ludzi, a pożyteczność lub szkodliwość wszelkiego czynu zbiorowego na tem się zasadza, czy przez charakter swój rozbudza on złe skłonności, lub wywołuje uczucia szlachetne i dążeniem ku dobremu pomaga.

Że dziecko nie może i nie powinno nawet być szczelnie zamykanem w domu i rodzinie tylko swojej, że dzieci, rosnąc dla społeczeństwa, narodu, ludzkości,—powinny od młodu stykać się z miniaturą tego społeczeństwa, narodu, ludzkości i urabiać się duchem do przyszłych stosunków i obowiązków swoich w tym kierunku—to rzecz niewątpliwa. Emil, któremu Rousseau każe się chować jak człowiekowi sztucznie dzikiemu w odosobnieniu od przyszłych towarzyszy życia i prac jego, to utopia bez podstaw naturalnych i życia, które dzieci na zwykły sposób obok rodziców prowadzą już na to nie pozwala. Są dzieci krewnych, są dzieci znajomych; z kolei przychodzi szkoła, rozszerzająca stosunki—zestknięcie się ze złym i dobrym przykładem, z wrażeniami wyższości i niższości swojej pod względem rozmaitym—ito wszystko, wzięte razem, urabia stopniowo do stosunków towarzyskich, do obcowania z ludźmi: auskultuje moralnie małego człowieka, puka w jego istotę, i oddźwięk, jaki głębia jego wydaje, to wskazówki, które dla wychowania straconi być nie powinny. Ale każdy myślący wychowawca wie, co znaczą przedwcześnie uderzające złe wrażenia, złe wpływy, gdy przychodzą działać pierwsi, zanim nastąpi pewne w dobru utwierdzenie. Jak żaden ogrodnik nie wystawi okrutnie na piękę promieni słonecznych roślinek młodych, w soki żywotne jeszcze nie zasobnych; jak ogrodnik żaden nie daje rość płonce delikatnej bez podpory ochronnego palika, tak nikt, kto lekkomyślnym nie jest, nie powinien narażać dzieciństwa na spotkanie się z tem, co złe instynkta wywoływać może pierwsi, zanim odporność moralna, choć w części jakiejś, rozbudzoną już została.

Dziecko, prowadzone na zabawy publiczne, jest właśnie na to narażone, bo spotyka tam tłum liczny i rozmaity. Dziecko uboższe, wobec wykwintów dziecka bogatszego, może łatwo uczuć w sobie zazdrość, małoduszne pożądanie strojów, elegancji kosztownej i żąd przywiązać wysoką wartość do majątku i używania, jakie daje, zniżając szkodliwie skalę uczuć i myśli; gdy tymczasem dziecko bogatsze może się zatruć złą pychą z posiadania zazdroszczonych mu przedmiotów, wbić w próżność najlichszego gatunku, bo pojęcie wyższych, szlachetniejszych życia idealów nie może jeszcze zasłaniać istot tak młodych przed niebezpieczeństwem fałszywie skierowanych wyobrażeń. Złe, w następstwa obfite, puszcza też swój kielek, puszcza korzonek już jakiś i wychowanie walczyć już potem musi—a ilekroć razy bezskutecznie!... aby nie rozwinął się z tego krzew, padający czarnym cieniem na ducha.

W podobny sposób, choć z oddmiennymi skutkami, działa nieraz głośno wypowiedziana pochwała urody, wdzięku, szczególnie dziewczyny. Jedne wbija to w dumę, budzi pragnienie hołdów, zwracania na siebie uwagi—szczepi załobność; drugie upokarza, często żółcią zazdrości poi, wyrabia nieraz istoty na całe życie nieśmiałe, lekkie, nieradne. W każdym razie przedwcześnie zetknięcie z tłumem ludzi, licznym i różnorodnym jest zawsze jakąś szkodą dla młodego dziecka, choćby z tego tylko względu, że pozbawia je prędko świeżości wrażeń, więc wytwarza starość sztuczną, odbierając wiekowi młodości urok najrozkoszniejszy. Pedagogowie angielscy zaliczają na ten karb wyższe jeszcze szkody ludzkości. Cechujący naszą epokę brak oryginalności, gorącego zapału, szerokiego natchnienia w sztuce, przypisują tej przyczynie i James Sully w swoim podręczniku Psy-

chologii, przeznaczonym dla nauczycieli i wychowawców—pisze: że „nie człowiek jest starym na ziemi, ale pokolenia ludzi, dorastające obecnie, którym wychowanie nie umiało zabezpieczyć młodości.“

„Aby dziecko mogło rozwinąć się dobrze wedle natury swojej i w czystości wpływów, jakie wychowanie zapewnić mu pragnie, potrzeba jest, aby do pewnego wieku pozostawało w nieświadomości wielu stosunków światowych i towarzyskiego konwencyonalizmu. Trzeba mu tego, aby grunt charakteru urobił się na podstawie pojętego bezwzględnie dobra i piękna moralnego.“ Gdy świadomość światowego porządku rzeczy następuje wcześniej, wychowanie utrudnia się niezmiernie; przeciwnie zaś sam wychowanek współpracuje z wychowawcą w odpięciu wpływów szkodzących zdrowiu jego ducha, jeżeli przejście to nastąpiło wtedy, gdy skłonności otrzymały już pewien stopień ustalenia. James Sully nazywa chwilę poznania złego i dobrego powtórzonym na wychowanku wytrąceniem człowieka z Raju. Przecież „unoszą on ze sobą w próby życia wieczną tęsknotę po owym idealnym istnieniu swym młodem, i ona-to tworzy mu nieopuszczający go nigdy pierwowzór bytu ludzkości na warunkach pokoju, prawdy i sprawiedliwości.“

Przegląd Pedagogiczny w N 18-tym, w artykule traktującym ten sam przedmiot: *Zabawy dzieci*, wyraża podobny na nie pogląd. Autor artykułu: I. B., pisze: „Nie jestem wcale przyjacielem lichych zgromadzeń dzieciennych, a sam fakt, że podobne zabawy istnieją za granicą i bardziej-sach kąpielowych, bynajmniej jeszcze nie przekonywa o ich użyteczności.“ Że zaś dała się słyszeć pogłoska, jakoby zabawy dzieci w Ogrodzie Zoologicznym miały się przedłużyć i na porę zimową, I. B. żąda przynajmniej zmiany warunków fizycznych: obszerniejszej przestrzeni i bardziej-pedagogicznego kierunku zabaw. Ja przecież, która, podobnie jak piszący te przestrogi, nie należę wcale do przyjaciół zgromadzeń publicznych dla dzieci, pragnęłabym przede wszystkim innego źródła dochodu dla Zwierzyńca Warszawskiego, opodatkowania na ten cel wszelkiej innej rzeczy, byle tylko nie dzieci—nie czynników ich wychowania!...

W samej stałej peryodyczności zabaw dla dzieci tkwi już zły ferment. Dzieci wiedzą, że zabawy takie istnieją dla nich, że dla nich zostały urządzone, co nie tylko rozbudza niebывale dotąd w tym wieku zajęcie zabawą i zabawy pożądanie, ale przedstawia się ona istotom młodym, jako pewna ich przynależność, do której mają prawo—i jest-że to dobry siew dla przyszłości? O! nie rozbawiajmy my dzieciństwa tych po nas w szeregu życia mających stanąć ludzi, bo czyż mamy dla nich legata odpowiedniego spadku?

Czy przeczuwamy, że będą bardzo moi, bardzo szczęśliwi, mogący wesoło pisać przez życie?

M. Ilnicka.

GASNAĆ DUSZA

POWIEŚĆ

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg)

Tutaj ferował swoje artystyczne wyroki Areopag krytyczny, tutaj rozprawiano o sztuce, udzielano sobie wiadomości i nowinek, załatwiano wspólne interesa, sprzeczano się i dowcipkowano naprzemiennie, a swadę i humor podlewano obfitemi libacyami, za które niezawsze Amfitryonowie byli obowiązani płacić gotówką.

Szalej należał do stałych gości w Dołku; miał swoje ulubione i uprzywilejowane miejsce w kącie pod piecem, gdzie czytywał wszystkie dzien-

niki pokolei, przeplatając lekturę łykami wódki lub araku, albo kręceniem papierosa z tytuniu, który nosił w kieszonce od kamizelki, służącej mu zwykle za kapciuch i fajczarnię.

On, tak rozmowny zazwyczaj w pracowni Filipa, tutaj siadywał, jak mruk, odwrócony najczęściej plecami do innych i z jakimś pogardliwym lekceważeniem zdawał się traktować całą „ciupkę.“

Służba w kawiarni nazywała go „poetą“, z szyderczym uśmiechem wymawiając ten epitet i pokazując sobie złośliwie jego przydeptane obcasy i wytarte łokcie; on zaś nie raczył nawet odzywać się do służby, siadał tylko i niemem spojrzeniem dysponował, kiedy miał się zjawić na stoliku pierwszy kielich „kontuszówki“, po którym szedł drugi, trzeci, czwarty i tak dalej; po każdym wszelako zwęgloną zapalką robił kreskę na piecu dla kontroli, aby przy płaceniu nie mieć żadnej kwestyi z kelnerem.

Od tych kresek mazanych i przekreślanych regularnie czerniło się oryginalne *conto* poety, które innym gościom ciupki służyło za przedmiot do ucinkowych drwinek i dowcipków podczas nieobecności Szaleja.

Dołkowski bardzo niechętnym okiem patrzył na tę piecowa buchalteryę, ale nie śmiał zabronić jej Szalejowi, którego instynktownie unikał, podejrzewając w nim naturę awanturnika.

Owego wieczora, kiedy w ratuszu odbywał się zapowiadany od dwóch tygodni bal kostiumowy, Dołek był wyjątkowo pusty; całe towarzystwo „ciupki“ znajdowało się na balu; pod piecem drzemał tylko poeta, a naprzeciw niego Dołkowski z panną Józefą, kassyerką, grał w domino, skracając sobie czas wyczekiwania zwykłych gości.

Na placu przed ratuszem gromadził się tłum ciekawych i przyglądał zajeżdżającym karetom, z których wysiadały strojne damy i panowie; służba uwijała się w liberyi, otwierając i zamykając z hałasem drzwiczki powozów, stangreci z kozłów nawoływali niecierpliwie o zrobienie miejsca przy przejeździe; ruch, tłok był, chaos...

Z okien pierwszego piętra buchały rzęsiste światła kinkietów gazowych i dochodził stłumiony odgłos orkiestry, grającej pierwszego walca.

Bal rozpoczął się świetnie.

Widok sali wydawał się uroczym; w atmosferze przejętej wonią kwiatów i perfum, wśród białych ścian, odbijających a giorno setki światła, łamiących się w kryształach, zwierciadłach, klejnotach kobiet, poruszał się prawie tysięczny tłum dziwnie zmieszanych postaci.

Czarne fraki odbijały obok jaskrawych, kosztownych i malowniczych kostymów i balowych strojów w tym jakimś międzynarodowym bazarze typów, wdzięków, ubiorów, epok i stylów.

Oko błądziło bez wypoczynku wśród tego rojowiska, nie mając czasu długo zatrzymać się na niczem; sala wydawała się olbrzymim kalejdoskopem, w którym co chwila zmieniał się widok i coraz oryginalniejsze nęciły efekta.

— *Ah, comme c'est beau!*... prześlicznie, precudownie!—słychać było wśród chaosu, szmerów, śmiechu i dźwięków muzyki.

Nikt jeszcze nie myślał o tańcu; odbywano dopiero wzajemny przegląd; podziwiano się z zachwytem, witając każdą nową figurę na sali z rosnącym zajęciem.

Panowie chodzili, jak po muzeum osobliwości, urządzonym w raju Mahometa; panie, bardziej krytycznym okiem lustrowały swe współzawodniczki, chwalać głośno a krytykując pocichu.

— Patrzcie, co za pyszna Hiszpanka z pani Teresy!...

— Kto jest ta średniowieczna Włoszka z wachlarzem marabutowym?...

— *Comme elle est belle!*

— *Ravissante!*

— A! i ks. Jadwiga tutaj?... co za wspaniały strój matrony polskiej!... to zapewne klejnoty familijne?...

— Już ta Cyglińska nie powinna odslaniać swoich kości.

— Także!... wybrać sobie taki kostium z czasów starożytnych.

— Sama ona już jest starożytnością, pokrytą szanownym pyłem.

— Cicho, bo nas usłyszysz.

Wten sposób toczyły się rozmowy w porwanych fragmentach, wykrzyknikach zachwytów, tłumionych śmiechach i szeptach złośliwości, pod wachlarzem.

Bał odbywał się na korzyść biednych; nędza ludzka miała się pożywić okrucinami zbytku i przepychu, które filantopia na posrebników w miłosierdnym dziele wezwiała, nie rozważając, że za cenę wszystkich tych kostymów, koronek, jedwabi, atlasów, pereł, brylantów, kwiatów sztucznych i żywych, można było utuczyć tych samych biedaków, których dochód z balu miał zaledwie posiłnić raz na tydzień zupą rumfordzką i kromką czarnego chleba.

Wśród rozbawionego, uśmiechniętego, wesołego tłumu gości balowych, snuł się jeden tylko człowiek z miną intruza, obcy tutaj, chmurny i blade, trzymający się jaknajdalej od zgiełku i wiru na środku sali, jakby go ranił widok, którym się zachwycali inni.

Na uboczu, najbliżej ścian, w najmniej widocznych kątach, ukryty za filarem, przybrany zielenią krzewów, wystawał Morelli, zdala śledząc obojętnie na pozór okiem przesuwające się przed nim pary. Szukał żony, która w towarzystwie matki i siostr przyszła tutaj po tryumf i hołdy dla swoich wdzięków i młodości.

Od owej pamiętnej dla niego sceny w pracowni Helena przybrała jakiś ton źle ukrywanej niechęci względem męża; przez całe dwa tygodnie prawie nie rozmawiali ze sobą, stosunek nagle i widocznie ochłodził się między małżonkami.

Czuła, jakby żal do człowieka, który nie chciał zniżyć się do niej i wyrozumieć jej potrzeb i pragnień; odsunięcie się od dziwaka męża zbliżyło ją do siostr i matki, których wpływ jeszcze bardziej utwierdzał ją w przekonaniu, że staje się ofiarą Filipa, niegodnego takiej, jak ona żony.

Oppozycja w rodzinie zwiększyła się przeciw artyście.

Helena teraz całymi dniami przesiadywała u matki ograniczając stosunki z mężem do kilkunastu rozmów. Były całe dnie, w których się prawie nie widywali z sobą. Okulska zatopiona była całą w jedenym myśli, w jednym marzeniu ołśnienia wszystkich pięknoscią córek na owym wspaniałym popisie wdzięków, elegancji i szyku; ale i sama o sobie nie zapominała również. Należało jej się przecież coś z płonów tej wczesnej jesieni, która jeszcze bardzo pięknelato przypominała.

Wbrew woli i zdaniu Filipa, projekt pójścia na bal kostymowy utrzymywał się i rozwijał bez jego udziału i aprobaty; unikano rozmowy o tem w domu; u matki natomiast wrzało wszystko, cały legion szwaczek, krawców i modystek odbywał narady z czwórką salonowych bogiń, które się spryskiwały podbić cały świat fatalaszkami.

Kiedy oznaczonego dnia Filip, jak zwykle, powrócił z pracowni do domu, nianka Stefanka oddała mu bilecik żony; rozwinął go ze zmarszczonym czołem i przeczytał:

„Poszłam do mamy się ubierać, bo mi tam wygodniej; pojedziemy wszystkie razem bez ciebie. W karecie i tak nie byłoby miejsca więcej. Bieliznę i garnitur frakowy przygotowuje ci Zuzia. Spodziewam się, że po 11-tej zastanę cię już na sali, jeżeli nie chcesz narazić siebie na pośmiewisko, a mnie na obmowę, że nawet tej przysługi z ciebie nie mam, byś mnie i moją matkę raz w życiu wprowadził w towarzystwo.

„A nie zapomnij swoim zwyczajem wziąć białych rękawiczek i fularowej chusteczki do nosa; wszystko przygotowane wszafienadrużej półce.“

Zmiał kartkę w palcach i zamyślił się przez chwilę.

— Dawno pani wyszła?—spytał służącej.

— Przed obiadem jeszcze.

— Stefanek jadł?

— Jadł, ale grymasił, kaszka mu nie smakuje; jakiś markotny się zrobił teraz, pewnie mu się zabił wyrzynać będą.

Filip poszedł do kołyski swego jedynaka i usiadł przy niej.

— Panu podać obiad?

— Później.

Służąca ramionami wzruszyła i wyszła z pokoju; już i dla niej nie była tajną zepsuta równowaga małżeńskiego stosunku jej chlebodawców, odkąd każde z osobna prowadzić zaczęło życie na swojej ręce.

Nic gorszego dla pewnych natur nad samotność i rozmyślanie w samotności.

— Życie z reflexyami — mówił raz Szalej do Filipa — to jak legumina z piaskiem; niby to słodkie a trzeszczy paskudztwo między zębami; ni jeść, ni przełknąć, ni strawić. Był czas, kiedy się tego piasku dosyć nagryzłem, teraz wypłunąłem wszystko i dobrze mi jest. Radzę ci: spluń także!

Łatwo to było powiedzieć.

Wrażliwa natura Filipa nie zdobywała się na taką stanowczość i rezygnację.

Pod wrażeniem ostatniej rozmowy z żoną Filip czuł się teraz jakiś zgnębionym, rozpękniętym w sobie; odkąd poznał Helenę, zrozumiał, że przyjdzie mu teraz znosić wiele prób i zawodów w najtajniejszej sferze jego ducha i umysłu, że będzie musiał sam iść przez życie dalej, chociaż u boku towarzyski, po której spodziewał się współnictwa w wymarzonem szczęściu.

Nie rozumieli się; rozdzielało ich wszystko, od poglądów na świat i życie, aż do gustów i upodobań. Musiałby być do gruntu zmienić ją i siebie. Słyszał kiedyś, że od męża zależy urobić sobie żonę według swej woli i potrzeb; mogło to być prawdą, ale, jeśli chodziło o samą formę, nie o materyał.

Z prostej gliny największy mistrz nie zrobiłby złotego filigranu, ani nie zmieniliby jej na granit wytrzymały i twardy.

Jeżeli można duszę ludzką porównywać z materją, to Helena miała duszę porcelanową, gładką, zimną i kruchą; była z tego materiału, z którego powstają piękne i delikatne bibeloty na serwantkach, żaden Pigmalion, jak marmurowej Galety, nie zdołałby jej ożywić.

Nie w pracowni Pigmaliona, ale w salonowej gablotce możnego sybaryty było też najwłaściwsze dla niej miejsce.

Dziwną pustkę czuł teraz Morelli około siebie, jako człowiek pragnący szczęścia i mający do niego prawo.

Zamyślony ponuro patrzył w twarz swego dziecka i mówił do niego w monologu tęskniacej duszy:

— Ciebie mam na zapełnienie całego życia, ale ty, dziecko moje, ojca swego ani pojąć, ani zrozumieć jeszcze nie możesz; zanim potrafiśz podzielić z nim jego pragnienia, myśli, zachwyty, bóle i rozkosze serdeczne, dążenia i zawody, troski i pociechy — lata całe, długie ciężkie i samotne przeminać będą musiały. A potem, gdy ty doróśniesz do jego poziomu, gdy twoja główka wznosić i rozwijać się zacznie, głowa ojcowska pochylać się będzie i mrokami zasławać. Dziś ja przed tobą, potem ty przede mną iść będziesz w życiu.

Im bardziej wieczór zapadał, tem więcej buntował się Filip przeciw tej niewolniczej roli, jaką mu upór Heleny narzucał.

Chwilami decydował się nie iść wcale na bal, zostawić żonę pod opieką samej matki i w towarzystwie siostr. skoro przełożyła je nad niego, zachciankę próżności nad obowiązek; ale rozum odradzał.

— Coby świat na to powiedział!...

Dla świata, dla opinii musiał zrobić ustępstwo, musiał poddać się konwenansowi; trzeba było choćby pokazać się na sali.

Zdawało mu się, że brak jego zauważyć musi każdy, a z tego braku wynioskuje cały szereg przypuszczeń i nabędzie prawo podglądania tajników jego małżeńskiego pożycia.

Tymczasem wdzięki Heleny skupiły tak całą uwagę na nią samą, że zapomniano, iż istnieje jakiś Filip Morelli, artysta, rzeźbiarz, mąż i człowiek, mający przed Bogiem i przed ludźmi wyłączone prawo do niej.

Powłókł się tedy raczej, niż poszedł do ratu-

sza, aby spełniać towarzyski obowiązek dobrego męża.

Wbrew swojemu zwyczajowi, cudem jakimś mama Okulska, przyzwyczajona zawsze się spażniać, ale za to ostatnia wychodzić z balu, koncertu lub teatru, by do samego dnia wypijać zawsze czarę wszystkich wrażeń i przyjemności, tym razem przed oznaczoną godziną stawiała się już na sali balowej w gronie swych gracy, promieniejących zachwycającą urodą i wdziękiem.

Szmer uwielbienia powitał na sali matkę z córkami, gdy, oparte na ramieniu uprzejmego gospodarzy, balu odbywały istny pochód tryumfalny.

Helena napróżno szukała męża u wejścia; przyjęła rękę pierwszej lepszej purchawki z komitetową odznaką u fraka i odrazu upojona czarem atmosfery balowej, oddała się wymarzonemu oddawna rozkoszom.

Fantastyczny kostyum czynił ją zachwycającą.

— Co przedstawia ta panna w różowej gazie z pierwioskami na piersiach i z brylantowymi motylami we włosach? — pytał siwy jegomość z ministerjalną miną stojącego obok mężczyznę w pysznym oryginalnym stroju Araba.

— Nie wiem, wujaszku — brzmiała odpowiedź — ale wiem, że ta Wenus w obłoku różowym ma już swego Parysa.

— Jakto?...

— Ugryzła od dwóch lat małżeńskie jabłko; to mężatka już, nie panna, żona jakiegos artysty. Znałem ją kiedyś podlotkiem i nie zakochałem się tylko dla tego, że miała jeszcze dwie siostry i mamę, które jej robiły niebezpieczną konkurencją. Spędziliśmy z sobą w Baden całe dwa miesiące.

— A idźże się przypomnieć, szczęśliwczu, i przedstaw mnie potem, abym ratował honor rodziny, który musiałeś pewnie zepsuć, jak zwykle — dorzucił wujaszek Beduina, popychając go zlekka w stronę pańien Okulskich i pani Filipowej.

— Czy wujaszka przedstawić w charakterze konkurenta jeszcze, czy też odebrać mamie i pannom odrazu nadzieję zostania panią prezesową?...

— *Tais-toi, brigand!* — spiesz się, bo za chwilę te panie będą tak obłożone, że chyba balonem się do nich dostaniemy!

W godzinę później, pan prezes Szeliwski nie odstępował prawie mamy Okulskiej, która w stroju Pompadour wydawała się starszą siostrą swych córek i dzieliła z niemi tryumf najpiękniejszych bogiń tego Parnasu.

Panny Klara i Irena były w nieustannem obłożeniu. Sama ks. Jadwiga raczyła zbliżyć się do nich i powinszować im sukcesu. Średniowieczna matrona polska, wbrew swojemu kostymowi i rodnym klejnotom prababek, używała tylko języka francuskiego.

— *Je vous félicite, madame* — mówiła do pani Okulskiej, rumieniącej się od szczęścia i zaszczytu — *vraiment, elle est belle, comme le matin printanier.*

Ostatnie słowa odnosiły się do Heleny, przy której nieodstępnym towarzyszem był już siostrzeniec pana prezesa w malowniczym stroju Beduina, pan Zygmunt Pielski, magnetyzujący swem powłóczytem spojrzeniem ciemnych, zmrużonych nieco oczu piękną mężatkę.

— Czy wolno spytać co właściwie przedstawia ma kostyum pani? — mówił, obejmując ją wzrokiem badacza i znawcy od stóp do głowy.

— Nie zgadujesz pan?

— Wyznaje...

— Mam być niby... porankiem majowym; tak przynajmniej utrzymywano w magazynie według wskazówek żurnalu.

Beduin skrzyżował ręce na piersiach, głowę schylił jak najniżej przed piękną kobietą i rzekł z uśmiechem wytrawnego komplementy:

— Dusza moja to przeczuwała.

— Jakto?

— Na widok pani chciałem ukłęknać i zacząć modlitwy poranne, zwyczajem wszystkich mahometan o wschodzie słońca.

— Oh, panie...

Rumieniec oblał twarz Heleny, a oczy skro-

mnie spadły nagle ku ziemi, lecz rozkoszny uśmiech na ustach zaświadczył, iż hold Beduina złożony Wiosennemu Porankowi został jaknajmilej przyjęty.

— Połknęła wędę—pomyślał Pielski i zaczął dalej prowadzić rozmowę z wprawą skończonego *boncauseur'a*, który zna się na wszystkich finach i efektach salonowego języka.

Zza filaru przyglądał się temu wszystkiemu Morelli i snuł dalej szare pasmo myśli rozpoczętych przy kołysce Stefanka.

Trzymał się umyślnie zdaleka, coś go silniejszego od woli nawet odsuwał na ubocze.

Powitanie z żoną i teściową na sali było tego rodzaju, że mu do reszty odebrało ochotę figurowania przy nich w charakterze piątego koła u tego tryumfalnego wozu.

Helena, spostrzegłszy zbliżającego się ku niej męża, którego nadarmo wyglądała przy wejściu, uśmiechnęła się tylko z jakimś przekąsem i rzekła, niby zdziwiona:

— Jesteś?...

Okulska na powitanie zięcia odpowiedziała niemem skinięciem głowy i odwróciła się z dumą obrażonej Junony od niego; panny Irena i Klara nie raczyły nawet zauważyć obecności szwagra.

Taki szwagier!...

Jedyną ujemną stroną balu był tłok, w którym ginęła połowa efektu; o tańcach zwłaszcza wirowych nie mogło być mowy, wszelkie próby walców i polek wszelkie nawoływania i wysiłki *vortaezerów*, najśmielsze zapędy znanych Fikalskich nie mogły rozbić tej zwartej, różnobarwnej falującej masy, którą jakaś siła atrakcyjna skupiała ciągle w najgłośniejszych ogniskach balowej sali.

Zabawa z konieczności ograniczyć się musiała na wzajemnem podziwianiu i konwersacji, z której w sposób zaszczyt przynoszący jego wymowie korzystał najbardziej zapewne Pielski, nie odstępujący Heleny w sposób ostentacyjny.

Beduin widocznie salę całą uważał za pustynię, a ją za palmę wśród oazy.

— Pamięta też pani nasze wycieczki konne w Baden? — pytał, bawiąc się jej wachlarzykiem z fijołków i przyciskając go zlekka do ust, pod pozorem wdychania zapachu oryginalnych *violet de Parme*.

— O, pamiętam dobrze, pański wierzchowiec nazywał się Abdelkader, a mój Miranda.

— A ja?...

— Cóż za pytanie!...

— Sądziłem, że dłużej w pamięci pani zatrzymał się ten kary bucefał, niż jego jeździec. Tak dawno nie miałem szczęścia przypomnieć się paniom. Wszystkie cztery wiatry nosiły mnie od tego czasu po świecie.

— Podróżowałeś pan tyle?

— Prawie ciągle bawiłem się w turystę. Teraz wracam ze Wschodu i oto dowód — dodał, wskazując swój kostium arabski, drapujący się na kształtnej jego figurze. — Tak dawno opuściłem pustynię, a mówię jeszcze ciągle.. miraż.

Przy tych słowach spojrzał znacząco na Helenę i uśmiechnął się z lekkim westchnieniem.

— Z kim pan tak pięknie rozmawiałeś na Saharze? — przerwała mu złośliwie zarumieniona słuchaczka.

— Czasem ze wspomnieniami — odparł z naciskiem.

Helena wzruszyła lekko ramionami i uśmiechnęła się niedowierzająco, ale zdradzając się tym uśmiechem że rozumiała aluzję.

Po północy tłum się nieco przerzedził i pierwszy kadryl, przygotowywany od pół godziny, przyszedł wreszcie do skutku.

Beduin z Porankiem Majowym stał vis-à-vis w pierwszej parze.

Uważano, że ten zaszczyt należał się... królowej balu.

Szaleł już po dziesiątym kieliszku, kiedy nagle cała kolonia „ciupki“ w niezwyklej gali zebrała się w Dolku, by wrażenia balowe zakropić ponczem i „a gorąco wydać wyrok o zabawie, która od jutra miała być przedmiotem rozmów całego miasta.

Stali goście pana Dolkowskiego przyszli w podnieconym niezwykle humorze; atmosfera balu i niejeden kieliszek szampana wychylony w bufcie dodawały swady i fantazyi prawie wszystkim.

Około głównego stołu roilo się; na pierwszym miejscu, jak zwykle, siedział stary Pszonka, redaktor humorystycznego „Świstka“, miejscowy Pasquino, którego ostrych dowcipów i satyrycznych docinków obawiano się, jak żądła żmii, zwłaszcza co niedziela, gdy tygodniczek jego wychodził zpod prasy.

Obok z niepoczesną miną, wypływały blondyn, niski, pękaty, z malutkimi oczyma, uśmiechniętymi zawsze słodko, przysiadł się znany w sferach plutokracji portrecista Rimmel, największy plotkarz z całego miasta, który był urodzonym pieczeniarem, a artystą z przypadku. Kręcił się po salonach bankierów, zamożniejszych domach mieszczańskich i miał dar „naciągania“ wszystkich na portreciki, robione szybko, tanio, nawet na wypłatę ratami.

Pszonki trzymał się od wielu lat, niby z przyjaźni, a raczej z wyrachowania; względem „pana redaktora“, udawał pokornego służkę, łąsił się mu i schlebiał, aby nie być podrapanym przez pazury niebezpiecznego humorysty. Podejrzewało go, że do „Świstka“ dostarczał cichaczem materiały, zbieranych po całym mieście.

Młody Bzikiewicz, krótko Bzikiem nazywany, przystojny szatyn, z miną małego dandysika, w którym nikt-by się nie domyslił utalentowanego malarza szkiców i studyów budoarowych. Kręcił się po całej ciupce i tenerowym głosem wyspiewywał arye z rozmaitych oper i operetek.

Niewiadowicz, felietonista trzech dzienników i chodząca encyklopedia w poplamionym fraku i brudnym krawacie białym, z rękoma zawsze w kieszeniach reprezentował w tem gronie dziennikarstwo miejscowe.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LIST Z ANGLII.

Londyn w Październiku 1886 r.

Jak wędrownie ptaki na gniazda swoje, tak całe te tłumy, które latem rozjechały się na góry i lasy, a może najliczniej na wybrzeża morskie, pościągają się już obecnie na swe stałe miejskie siedziby. Brakuje już tylko lubowników myśliwskiego sportu, którzy właśnie polują w najlepsze po wrzosowiskach szkockich, to u przyjaciół i znajomych, to zajmując sobie polowania od gmin, ale i ci niedługo już się znajdą. Tymczasem ostatniem, niewesołem echem letniej willagiaty jest tu sprawa profesora Oxfordskiego Uniwersytetu, H. Nettleship'a, który najawszy dla siebie i rodziny letnie pomieszkanko nadmorskie na folwarku Cornwall, w pobliżu miasteczka Newquay, stracił tam wkrótce synka na szkarlatynę, wskutek tego, że mieszkanko było poprzednio zajęte przez rodzinę, której dwoje dzieci umarło na tę chorobę.

Powstał tu z tego taki hałas, jakiego wy tam nie możecie wyobrazić sobie łatwo. Podniosły go najpierw wszystkie dzienniki, a potem pisma lekarskie—publiczność cała. —Jak taki wypadek mógł się stać w państwie Wielkiej Brytanii, pod rządami Jej Królewskiej Mości? Choć właściciel wynajętego domku na zasadzie prawa z 1875 r., o zdrowiu publicznem: „Public Health Act“ został skazany za wynajęcie mieszkania, niedostatecznie oczyszczonego z miazmatów zaraźliwych na grywny 10 funtów sterlingów (100 rs.) i dwa miesiące więzienia—nie uspokoiło to opinii publicznej i w *Times'ie* z d. 2 Października ukazał się artykuł ostro rozbiegający kwestyą. Osobistości pojedyncze mogą zawsze być chciwe na grosz; zaślepione przez interes własny mogą obejść prawo, nie pojmując ważności swego postępków: ale od czego jest policja zdrowia, od

czego urząd bezpieczeństwa publicznego? Na nie spada główny ciężar winy i domagano się śledztwa, które też zostało odnośnym władzom wytoczone, domagano się kary — usunięcia z urzędów. Przed dwunastu laty młody docent też Oxfordskiego Uniwersytetu, Freemantle, umarł na tyfus, spowodowany napiciem się niezdrowej wody na wycieczce w okolice miasta, i choć zaraz potem cała wieś, położona na gruncie bagnistym, została osuszona przez wyborne dreny, choć zapewniono jej obfitość dobrej, czystej wody do picia—podniesiono teraz ten wypadek, czyniąc z niego zarzut niedostatecznej czujności władz.

W kilka dni potem ukazała się, w *Times'ie* także odpowiedź na zarzuty, napisana przez jednego z wyższych urzędników zdrowia. Publiczność powinna też ze swej strony być uważniejszą i troskliwszą o bezpieczeństwo własne. Prawo, na które się powołano, wskazuje, że najmujący mieszkanie powinni się zapytać: zali w przeciągu sześciotygodniowym czasie nie zajmował go ktoś, mogący udzielić mu zarazków szkodliwych? Lecz teraz przystąpiły do polemiki pisma lekarskie, dowodząc, że nie cała publiczność może być dość oświecona w przedmiotach, dotyczących warunków zdrowia i utrzymania życia, aby pojmować ważność rzeczy, ale ponieważ płaci podatki na utrzymanie odpowiednich urzędów, ma więc prawo, aby w charakterze jej delegatów dopilnowywały tego za nią.

Rozpisałem się o tym wypadku nie tylko z przychyni, że poruszył tu ludzi bardzo żywo, ale, że jest charakterystycznym rysem społeczeństwa angielskiego. John Bull pozwoli sobie prawnie zdjąć głowę z karku, ale broń Boże, aby ktoś nie wykonał tego, co on mu za powinność względem siebie uważa! Będzie krzyczał w niebogłosy na krzywdę swoją i można też powiedzieć, że to jest pod wielu względami gruntem jego siły—nie małej, jak dowodzi historia wyspy, która się stała ogromnem, kilkuset-milionowem państwem.

Wystawa Indyi i Kolonii, okazała się przez rezultaty swoje dziełem wspaniałego powodzenia. Zwiedziło ją, milion ludzi, rozkupiono tysiące przedmiotów i przyjrano się zasobom posiadaniem. Indyjanie, których liczbę wystawa ściągnęła do Anglii, wracając przed zimą do siebie. Parowiec „Parramatta“, który z doków Tamizy wypłynął d. 1-go Października z kierunkiem na Bombay, zabrał na swój pokład 36 osób z wyższego towarzystwa indyjskiego, że przytem była i służba, wytworzyło to orszak wcale okazały i ciekawy dla europejskiego oka. Ci ludzie Wschodu są tak poważni, tak wspaniale spokojni, choć piekło namiętności może im co chwila zawrzeć w piersi, że mimowoli imponuje to nam, żyjącym wiecznie w ruchu, wiecznie gorączkującym się do czegoś, i poszedłem też przez ciekawość przyjrzeć się ich odjazdowi. Zwiedzali oni London bardzo starannie i systematycznie, ale zdaje się, że opuszczali go bez żalu, że wracali do siebie chętnie, jakkolwiek jest to właśnie pora, w której otwierają się tu teatry, biblioteki rozchylają swe podwoje, galerie zapełniają się dziełami sztuki. Zimowa wystawa w Galeryi Hanowerskiej jest godną widzenia. Mało tu jest malarzy angielskich, ale za to znajduje się wielka liczba wyższych już dzieł nowożytnego malarstwa europejskiego — wszystkich panujących obecnie szkół i stylów. Zraz na wstępie uderza portret Sary Bernhardt, pędzla zmarłego już mistrza, Bastien Lépage. Przedstawił on francuską artystkę z profilu, siedzącą i zapatrzoną na mały klasyczny posążek, który w rękę trzyma. Było to malowane w 1878 roku, więc wtedy, gdy Sara była jeszcze w całej pełni swej charakterystycznej, choć oryginalnej piękności i załować trzeba, że artysta, który umiałby to oddać, nie cisnął wprost na widza pełnego promienia jej wzroku. Portret ten, w każdym razie niepospolity, oprawionym jest w rzeźbione ramy z porowanej stali. Wykonanie ich zabrało snycerzowi półtrzecia roku czasu i kosztuje też 720 funtów, czyli 7.200 rs.

Jedną z wielkich pań tutejszych, zwiedzając galerię, rzekła głośno, odchodząc od obrazu, że w teraźniejszym wieku tylko aktorka może sobie pozwalać na taki zbytek!...

Znalazłem tu tylko jedno dzieło polskiego pendzla, które dało mi zakosztować niewypowiedziane słodkiej rozkoszy. Jest to W. Maleckie-go, „Krakowski Zamek na Wawelu”, zapisany w katalogu: „The King's Castle at Cracow.” Ze malarz przedstawił tu kawał wiślanego brzegu, publiczność, która bardzo w obrazku tym gustuje, nazywa go „a beautiful polish landscape” i zawsze znajdzie tu kogoś, który mu się przygląda. Ja, gdy mnie zdejmie wielka do swoich śmieci tęsknota, biegnę tu i patrzę, patrzę, oczy naturą naszą poję, aby mieć potem—sny pijanego!

Czemu tu nie znajdzie się kiedy Matejko? Jestem przekonany, że Anglicy umieliby inaczej, niż Berlińscy Niemcy, ocenić mistrza. Galeria Hanowerska jest własnością prywatną dwóch przedsiębiorców: Messrs Hollender and Cremetti (New Bond-street).

Królowa Wiktoria udzieliła malarzowi Boehm kilku posiedzeń dla odysowania jej głowy, która ma być odbitą na jubileuszowej monecie, to jest na monecie z jubileuszowego roku królowej, 1887 r. Zarząd mennicy dokłada wszelkich starań, aby to było coś najdoskonalszego w swoim rodzaju, pomyśl zaś jest księcia Walii, który pragnie, aby pieniądze te były jakoby pamiątkowymi medalami i stanowiły podobiznę królowej takiej, jaką jest w obecnej chwili swego życia. Cała bez wyjątku ludność Brytańskiego Państwa szanuje i kocha uczciwą monarchinię swoją i nawet Irlandczycy, jak wyrazili to niejednokrotnie, nie czują do niej osobiście nienawiści, ceniąc jej zacny charakter i czyste, szlachetne życie. Ale wszyscy znają jej nie mogą: otóż syn zapragnął, aby cała ludność ogromnej monarchii, żyjąca pod jej berłem, poznała jej oblicze zapewne nieszczerze piękne, bo królowa Wiktoria nawet w młodości nie była piękną, lecz tylko przystojną kobietą, łagodną i miłą przez wyraz tej łagodności i nieklamanej dobroci serca.

Ta chęć syna, niewątpliwie przywiązane do matki, sprawia wrażenie przyjemne i przychodzi do głowy myśl, że warto jednak żyć uczciwie i czysto, warto być niezłą, ogrzaną dobrem uczuciem istotą!

W muzycznym świecie tutejszym jest wciąż wielce cenionym i honorowanym czeski kompozytor, Antoni Dworzak. Wyszło tu świeżo spod drukarskiej prasy, choć z sali koncertowej znane publiczności dzieło: „Stabat Mater Dolorosa”, pobudza w tej chwili dzienniki do nowych a zawsze bardzo wysokich pochwał. Od pierwszej chwili przybycia Dworzaka do Londynu to jest lat temu parę, zyskał on sobie odrazu sławę taką, taką wziętość ze strony publiczności, jakiego nikt z nim nie dzieli. Człowiek jest pomimo to skromny, poważny; to, co tu zdobył sobie, zdobył jedynie i całkowicie siłą swego talentu, wrażeniem, wywartem na publiczność angielską, bez żadnych lichych sztuczek i robionej z ręcznie reputacji. Cenią też to w nim tutaj i podnoszą go wogóle, jak nie można już wyżej. Zaraz z początku krytyka pisała o nim: „He came, saw and conquered!” a to wysokie uznanie nie zmniejszyło się z czasem. Na wielkiej uroczystości muzycznej w Leeds, „a festival”, jak mówią tutaj, ma Dworzak przewodniczyć sam wykonaniu najnowszego i ostatniego swego utworu, oratorium: „S-ta Ludmiła.” Można mu wróżyć, że przy takich względach, takiej, jak angielska publiczność, może dojść do wielkiej i nie długo wającej czekać na siebie fortuny, którą mu ozłociła posiadana już sława.

Bardzo popularną publikacją literacką, rozchodzącą się w ogromnej ilości egzemplarzy, a której część V ukazała się właśnie, jest: „Życie i czas królowej Wiktorii” (The Life and Times of Queen Victoria). Rzecz jest w swej części historycznej opracowana bardzo starannie i niepowierzchniowo, że nie zawsze krytycznie—łatwo zrozumieć. Najpierw królowa jest tu na zbyt kochaną, aby to się stać mogło; powtóre ludzie i wypadki potrzebują dla sprawiedliwego, o sobie sądu tej perspektywy, którą daje tylko odpowiednie oddalenie—czas!... Ilustracje są liczne, doborowe i piękne.

Do najbardziej zajmujących i wielce poczytnych

książek zaliczyć trzeba świeżo tu wyszłe pamiętniki, z epoki Wielkiej Rewolucji Francuskiej, wydane przez księcia des Cars: „Memoirs of the Duchess de Tourzel, Governess to the Children of France, during the Years 1789—1795.” Wiedziano, że księżna de Tourzel pamiętniki pisała, że znajdują się one w ręku jej spadkobierców, przecież rozmaite względy wstrzymywały od ogłoszenia ich drukiem, aż prawnuk autorki, książę des Cars, doszedł do ich posiadania i wydał je z przedmową, skreśloną już inną ręką, w której położono na to nacisk, że jedyne to jest niezaprzeczenie wierne świadectwo dziejów królewskiej rodziny francuskiej podczas rewolucji. Przeceniono przecież historyczną wartość książki, jako materiału dziejowego, bo wielka liczba też współczesnych pamiętników i ogłoszeń nie drukiem rozmaitych dokumentów rządowych, z tego czasu, rozjaśniło już dostatecznie losy nieszczęśliwej rodziny Ludwika XVI. Jeden przecież szczegół i ważny bardzo, a dotąd jednak wątpliwy, zostaje stanowczo rozstrzygniętem przez księżnę, a to, że jej nieszczęsny wychowanek, biedny mały Ludwik XVII, umarł rzeczywiście w Temple.

Wszyscy podszywający się pod jego nazwisko pretendenci, byli już zatem niezawodnie fałszerzami i ciężki zarzut, jaki ciśnięto na księżnę d'Angoulême, że dla racji stanu, dla względów na Ludwika XVIII, zaparła się brata, niema podstawy żadnej i upada w całości. I mniemani następcy pretendenta mimo rzeczywiście wielkiego ich podobieństwa do charakterystycznych rysów rodziny Bourbonów, są też, jeżeli nie oszustami także, to w błąd wprowadzonymi ludźmi. Dla faktycznych dziejów Francji nic to nie znaczyło nigdy i nie znaczy nie obecnie, ale jest w sercu ludzkim jakieś umiłowanie prawdy, jakas sympatya dla pokrzywdzonych przez niesprawiedliwość, lub niewiarę ludzką, która sprawia, iż ten, na podstawie wiarogodnej otrzymanej dowód śmierci biednego, ciężko dręczonego dziecka, przynosi pewną ulgę duszom, że nie stała się na świecie jedna więcej niesprawiedliwość, że jedno więcej serce ludzkie nie przeszło przez okrutne uczucie odrzucenia przez swoich!

Autorka pamiętników, z domu księżniczka de Croy-Havré, następnie małżonka wtedy margrabiego i Wielkiego Marszałka Francji, a potem księcia de Tourzel, została mianowana przez króla i królową guwernantką Dzieci Francji, na drugi dzień po wzięciu Bastylii. Już pierwsi kierowała ona wychowaniem starszej królowny Maryi Teresy, to też królowa, zobaczywszy margrabinę raz pierwszy po nominacji, rzekła jej silnie wzruszona: „Dotąd powierzałam dzieci moje przyjaźni, teraz oddaję je cnocie.”

Pamiętniki mieszczą wiele drobnych, ale wzruszających faktów, jak dzieci rodziców, a rodzice kochali dzieci. W chwili, gdy margrabina obejmowała swój urząd, królowa liczyła lat jedenaście, królewicz cztery. Gdy królowa zaczęła raz narzekać, że jej syn, który powinien być rozumny człowiekiem, nie chce się uczyć czytać, biedaczek rzucił się całować jej ręce i przyrzekł, że się nauczy na przyszły Nowy Rok, aby to był jego prezent dla mamy. I prosił potem usilnie nauczyciela swego, księdza Davauz, aby nie raz jeden, ale dwa razy dziennie odbywał z nim lekcye, które doprowadziły do celu, bo na Nowy Rok, już w Paryżu, nie w Wersalu spędzony, królewicz przyszedł do matki z elementarzem w ręku i przeczytał jej z niego trzy wiersze. Królowa płakała i ze słodkiego wzruszenia matki, — matki przeczuć bolesnych.

Rodzeństwo kochało się też między sobą namiętnie i księżna z oburzeniem odrzuca tę myśl, aby Marya Teresa miała potem zaprzeć się brata. Już ona go spotkać nie mogła na ziemi, bo dziecko, które pod nazwiskiem Ludwika Karola Capet'a zamknęło zmęczone oczy w izbie okrutnego szewca, było rzeczywiście Ludwikiem XVI.

Księżna de Tourzel żyła do 1852 r.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Październiku.

Medal ku czci księcia Adama Sapiehy.—Wystawa bydła, narzędzi rolniczych i kwiatów.—Kasyno kobiece.—Pożegnanie p. Boberskiego, inspektora szkół ludowych przez grono nauczycielskie.—† Andrzej Grabowski.—Trzech przyjaciół artystów.—Puławy przez L. hr. Dębickiego.—Zjazd techników.—Wycieczka do Podhorzec i Słobody Rungurskiej.

(Dokończenie).

Ruch wydawniczy ustał u nas niemal zupełnie skutkiem przykrych stosunków materialnych roku zeszłego, które się niepomysłnie odbiły na każdym polu. Prassy drukarskie, zniewolone ograniczyć swą czynność, zajmują się wyłącznie prawie odbijaniem gazet politycznych i wogóle pism peryodycznych, podtrzymujących życie umysłowe. Z tem większą skwapliwością bierzemy do ręki jedyne większych rozmiarów, dwutomowe, dzieło, które pojawiło się niedawno nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. Dziełem tem są: *Puławy, monografia z życia towarzyskiego, politycznego i literackiego, na podstawie archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie*, przez Ludwika hr. Dębickiego, z pięciu rycinami. Wezwany do ułożenia kroniki domowej Puław, znalazł autor w otwartem dlań z tego powodu rodzinnem archiwum Książąt Czartoryskich niezmiernie bogaty i ciekawy zasób autentycznych źródeł, i z nich ułożył żywy, w najdrobniejszych szczegółach zajmujący obraz dziejowy i obyczajowy całej tej epoki, obfitującej w wielkich następstw wypadki polityczne, z których przebiegiem rodzina Ks. Czartoryskich ściśle była związana. Jak ważną jest treść dzieła, okazuje już samo wyliczenie w przedmowie źródeł archiwalnych, które służyły autorowi do ułożenia niniejszej monografii; mianowicie: cztery tomy korespondencji Generała Ziem Podolskich, osobny wolumen listów od monarchów różnych państw, spuścizna rękopiśmienna księcia generała i jego małżonki, notatki, wspomnienia i listy osób z Puławami związek mających, oraz archiwa niektórych rodzin spokrewnionych z domem Czartoryskich, tak, iż na każdej karcie przemawiają własnymi niemal słowy i przedstawiają się w świetle właściwym najwybitniejsze postacie dwóch spółczesnych obrazów generacji. Piszący trzymał się wprawdzie ściśle ram monografii jednego domu i jednego rodu, lecz gdy dom ten miał szeroko otwarte podwoje, a ród stanowił wyjątkowo, niemal naczelne w społeczności polskiej; zatem kronikarz Puław nie mógł się zamknąć w zakresie biograficzno anegdotycznymi musiał co chwila wkraczać w dziedzinę spraw publicznych.

Monografia p. Dębickiego obejmuje przeciąg czasu od r. 1762 do 1830. Ileż to w tym czasie ważnych zaszło wypadków, ile zmian, przeobrażeń, na widowni politycznej, i w życiu powszechnym, w usposobieniach, pojęciach, obyczajach! Czytając dzieło niniejsze, znajdujemy się jakby u źródła tych przeobrażeń, tych reform politycznych, cywilizacyjnych i towarzyskich, które uwydatniła się ta właśnie epoka, a których ogniskiem w znacznej części były Puławy. Jak galeria żywych obrazów, przesuwają się w opowieści hr. Dębickiego najwybitniejsi ludzie, najciekawsze wypadki, grupując się około głównego przedmiotu monografii: wizerunku Księcia Generała Ziem Podolskich i jego małżonki. W tej panoramie, którą w sposób pamiętnikowo-histeryczny roztacza przed nami autor, pociągają szczególnie świeżość i prawda kolorytu, pochodząca ztąd, iż źródłem opowieści były materiały autentyczne, poufne, a dotąd po większej części wcale nieznane. Treść i tok wypadków, ich pobudki, charakter osoby, zdania i poglądy, będące częstokroć skrytą działą sprężyną, tych, co stali na czele spraw publicznych,—wszystko to występuje tu na jaw, z pomroki archiwalnej wydobyte, i przedstawia się we właściwym świetle.

Z tych powodów dzieło p. Dębickiego zalicza się do najciekawszych nowości literackich.

W chwili, gdy to piszę, obraduje tu drugi z kolei *Zjazd techników*. Pierwszy odbył się przed kilku laty w Krakowie, a powzięte tam uchwały świadczą o pożyteczności przeprowadzonych obrad, dających wytyczne, zasadnicze kierunki pracom na polu teorii i praktyki technicznej rozmaitych zawodów. Na zjazd obecny przybyło stu kilkudziesięciu uczestników, pomiędzy którymi kilkunastu z Warszawy, tudzież z Poznania i Krakowa. Pierwsze posiedzenie publiczne odbyło się w pięknie ku temu celowi udekorowanej wielkiej sali radnej w ratuszu. Zainaugurował je prezydent miasta Dąbrowski, kilku słowy serdecznego powitania. Obecny był także marszałek krajowy. Prezesem zjazdu obrany został jednogłośnie przez akklamacyą p. Józef Sporny, inżynier i przemysłowiec z Warszawy, wiceprezesami p.p. Napoleon Urbanowski z Poznania i Stefan Kosut, dyrektor Fabryki Żyrardowskiej. Zjazd podzielił się na cztery sekcje obradujące w salach gmachu politechnicznego, mianowicie: na sekcję spraw ogólnych sekcją architektoniczną, inżynierską i słownikową. W każdej z tych sekcji poruszono wiele ważnych zadań technicznych, a dokładne sprawozdanie z obrad zjazdu będzie ciekawym obrazem postępu technik i przemysłowców i wyświeci wiele odnoszących się do tego przedmiotu stosunków i dążeń. Nie tutaj miejsce powtarzać, chociażby w najkrótszym streszczeniu, tok obrad i podawać wyniki tychże i uchwały powzięte. Wszystkie, można powiedzieć, bez wyjątku, wykłady i rozwinęte nad nimi rozprawy, były bardzo zajmujące i ożywione, jak np. opis starożytnego kościoła w Bieczu, przez p. Kowalczyka, wykład p. Wdowiszewskiego o potrzebie stosowniejszego uorganizowania ochrony zabytków budownictwa i przemysłu artystycznego, z działu inżynierii opis konstrukcji mostu pomysłu Ibiańskiego, i wiele innych, zwłaszcza odnoszących się do utworzenia nowych szkół przemysłowo-technicznych i słownictwa technologicznego, którem zajęto się bardzo gorliwie.

Posiedzenia przeplatane były zwiedzaniem miasta, jego osobliwości, muzeów, budowli znakomitszych i okolicy. Pierwszego dnia spędzono porę popołudniową na Wysokim Zamku. Trzeci dzień zjazdu poświęcono wycieczce do Podhorzec, dla widzenia tamtejszego zamku i odznaczającego się piękną architekturą kościoła parafialnego. Jutro zaś, po ukończeniu obrad, udają się uczestnicy zjazdu gromadnie do Słobody Rungurskiej, dla zwiedzenia tamtejszych kopalni nafty i rafinerii pana Szczepanowskiego w Peczemizynie. Wycieczka to nadzwyczaj przyjemna i pouczająca. W Słobodzie Rungurskiej, w tem doniedawna jeszcze dzikim, bezludnym wąwozie górskim, wznosi się dzisiaj jakby miasto złożone z wieżyc piętrzących się ponad szczybami amfiteatralnie jedna za drugą, pomiędzy którymi snuje się różnojęzyczna ludność, pracą zajęta. Rozmaite systemata wiertnicze są tu użyte celem umiejętnego wydobywania z głębi ziemi tych skarbów, co tutaj z obfitych źródeł nieobliczonem tryskając bogactwem, krociowe zyski noszą przedsiębiorcom, którzy szczęśliwie dobrali się do nich potrafili. Z najrozmaitszych stron świata zgromadzeni przemysłowcy, technicy i robotnicy, Amerykanie, Niemcy, Francuzi, Anglicy, Holendrzy, zajęci tu są systematycznym prowadzeniem robót. Niedługo Borysław pod Samborem był ową ziemią obiecaną, do której, gdy się tam pierwszy w Galicji obfite źródła nafty pokazały, śpieszyły gromadnie rzesze spekulantów, by na większą lub mniejszą skalę próbować szczęścia i ubiedz innych w odszukaniu ukrytych w ziemi skarbów. Wielu, doznawszy zawodu w poszukiwaniach, utraciło całe swe mienie, w bezowocnem kopaniu. Szczęśliwsi, którym się powiodło trafić na źródła podziemne ropy pożądanej, porobili krociowe majątki. Ale wydobywanie nafty w Borysławiu przez niepowołanych spekulantów odbywało się bez żadnego zgoła systemu, nieumiejętnie, było poprostu bezładną, rzec można, barbarzyńską eksploatacją skarbów ziemi, których część większa szła namarnie, stracona przez nie-

właściwe, nieumiejętne postępowanie. Obecnie Borysław już się znacznie wyczerpał a głównym punktem źródeł naftowych w Galicji jest Słoboda Rungurska, gdzie wydobywanie prowadzi się wedle wszelkich zasad postępowego górnictwa, dzięki pobudce i staraniom p.p. Szczepanowskiego, inżyniera, i Sygurda Wiśniowskiego, którzy pierwsi zakrzętnęli się około wzorowego urządzenia szybów i sprowadzenia w tym celu wprawnych i doświadczonych robotników z Kanady i innych stron świata. Dzisiaj kopalnie Sungurskie są już na tej stopie, że się je zwiędza z pożytkiem i z przyjemnością, a uczestnicy zjazdu nie pożałują swej wycieczki.

Władysław Zawadzki.

Kronika działalności kobiecej.

— Uczczoną została pamięć zasługującej na to kobiety przez wdzięczny dowód miłości tych dla których pracowała. W kościele S-go Piotra i Pawła na Koszykach wmurowano płytę marmurową, przedstawiającą w płaskorzeźbie popiersie s. p. Krakowowej, z napisem poniżej: „Wdzięczne uczennice, s. p. Paulinie z Radziejowskich Krakowowej, autorce i wychowawczyni polskich dziewcząt. Pracowała uczciwie, cierpiała wiele... Pokój jej duszy!“

— Nieznana ręka kobiety pobożnej, złożyła na ręce proboszcza parafii praskiej 30,000 rs. przeznaczając je na budowę kościoła na Pradze. Dar jest wspaniały i dobrze pomyślany, stanowi dowód nie tylko pobożnych, ale i obywatelskich uczuć, z obu też tych względów szlachetna jego dawczyni zasługuje na podziękowanie swego ogółu. Dodać należy, że dar to pierwszy na wzniesienie świątyni bardzo potrzebnej, bo Praga ma tylko kościółek malutki, za ciasny dla parafian, potrzebujących się tam pomodlić i jakże ubożchno on wygląda...

— Wystawa nasion liczy wystawczyń 7 a mianowicie hr. Zofia Czacka z Koniniuch, p. Marya Jastrzębska z Jurkowa, Franciszka Mierzkowska z Kozłowa, Leokadya Pleszczyńska z osady Międzyrzecz, hr. Alexandra Potocka z Willanowa, hr. Marya Potocka z Wysokiego Litewskiego, hr. Marya Przeddziecka z Rakiszek. Nagród i znaków uznania przypadło dla wystawczyń 10. Hr. Marya Potocka otrzymała dyplom zasługi, jakich przyznano tylko trzy, oraz świadectwo Muzeum dla uznanych przymiotów wystawionego okazu. Marya Jastrzębska (obok męża) dyplom uznania i świadectwo. Hr. Alexandra Potocka dyplom uznania i świadectwo. Hr. Marya Przeddziecka medal brązowy i świadectwo. Leokadya Pleszczyńska list pochwalny. Franciszka Mierzkowska świadectwo.

— W wystawie dzieł sztuki ornamentacyjnej i reprodukcyjnej, urządzonej przez Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, wzięło udział kobiet 18, a mianowicie: pp. Alexandrowicz Wiktorja, Danielska Jadwiga, Głowacka Marya, Kanigowska Alfonsa, Klukowska Zofia, Kosmowska Irena, Malinowska Bronisł., Miniewska Izabella, Niewiadomska Józefa, Phanhauzer Amelia, Poświkowa Bronisł., Rodziejewicz Józefa, Szmurło Marya Karolina, Williamson Ella, Kurnatowska Halina, Lewenberg Leonia, Meyer Maryla. Otrzymały listy pochwalne: za malowanie na porcelanie: Alfonsa Kanigowska, Józefa Rodziejewicz, Ella Williamson; za ornamentacje kwiatowe: Jadwiga Gersonowa. Że pendzel otwiera kobiecie wiele sposobów pracy zarobkowej, wiemy oddawna, czem przecież może być w ręku kobiety jakie pani domu, dla jego upiększenia, rozweseleniem czem nigdy nie dorówna mu w zupełności igła, a szydełko wcale, pokazuje wystawa p. Kosmowskiej: śliczny parawanik malowany na atłasie, serwis stołowy z porcelany francuskiej, bardzo ładnie ozdobiony kwiatami i herbem. Oczy zwiedzających pociągały do siebie kwiaty p. Poświkowej w seryi: „Z pola i łąk.“ Może w in-

nym dziale znalazł się jakiś błąd perspektywy, ale kwiaty „z pola i łąk.“ sprawiły, że się uśmiechano do nich i chciano niemal sięgnąć ręką, aby to zerwać. Śliczne delikatne obrazki na porcelanie p. Elli Williamson podobają się też niezmiernie, zwłaszcza *Narzeczoną*. Ta część *Połowu*, która przedstawia dal jeziora, pełna poetycznego wdzięku.

— Szkoła malarstwa dla kobiet, prowadzona przez p. Wiesiołowskiego, młodego, wysoko uzdolnionego malarza, otwartą zostanie w mieście naszym w początkach przyszłego miesiąca. Pierwszą szkołę taką założyła u nas hr. Marya Łubieńska, która ograniczywszy się obecnie do malowania okien i obrazów kościelnych, szkołę swoją zdała p. Izabelli Miniewskiej pod jej kierunkiem istnieje ona dotąd pomyślnie, zawsze przy ulicy Królewskiej w dawnym pałacu Łubieńskich.

— Jubileusz trzydziestoletniej uczciwej służby w jednej rodzinie (pp. Rentlów) obchodziła w tych czasach Joanna Skulimowska. Otrzymała ona w ten dzień, wśród licznych dowodów życzliwości swych pracodawców i ich rodziny, miły podarek fotografii wszystkich rodzinę tę składających osób. Przy obiedzie, na jej cześć wyprawionym, siedziała ona na pierwszym miejscu, i za jej zdrowie, za jej pomyślność wzniesiono toast pierwszy. Powinna-by się obchodzić w każdym podobnym dniu druga zarazem uroczystość uczczenia dobrych, szlachetnego serca ludzi—gospodarzy a szczególnie gospodyni domu, gdzie praca musi nie być przeciążającą przy dobrem słowie, względności, ludzkości i dobroci serca pracodawców.

— Praca nauczycielek, ograniczona dotąd w rządowych gimnazyach żeńskich, do wykładów jedynie w czterech klassach niższych, ma uleść podobnemu ograniczeniu i w prywatnych zakładach naukowych dla dziewcząt. Te osoby, które dla praktycznego użytkowania nauki wyższej w zawodzie nauczycielskim poświęciły się studiom uniwersyteckim, mają już tylko przed sobą pole otwarte w edukacji domowej.

— Angielskie stowarzyszenie dla popierania nauki (British Association for the Advancement of science) liczy piątą część członków—kobiet. W ogólnej summie 2 222 osób, jest kobiet 412 i to nie próżnujących, nie honorowych jedynie. Na tegorocznem zebraniu, które odbyło się w Birminghamie, odezwały się tylko dwa głosy kobiece, ale w przedmiotach ważnych i wartych uwagi społecznej. Pierwsza z odzywających się, miss Hall, przedstawiła uwadze Stowarzyszenia, jak dzieci wychowywane kosztem rządu, podrzutki lub sieroty zyskałyby wiele tak względem fizycznym, jak moralnym gdyby przyjętym został system oddawania ich na wychowanie rodzinom, zwłaszcza bezdzietnym. Inne jest zawsze ciepło ogniska domowego, innaczej ogrzewa i inaczej usposabia serce niż to być może w najłepszej urządzonym domu przytułku. Przytem biedna istota, wychodząca z takiego przytułku, jest jak wyrzucony na wyspę rozbitek: nie należy do nikogo, nikogo nie kocha, przez nikogo kochana nie jest, nie związaną z nikim choćby tylko węzłami nawyknięcia—nie ma żadnych stosunków i zarazem nie posiada żadnej znajomości życia. Głosy kilku członków poparły miss Hall, dowodząc, że nawet choćby gorsze, mniej na doskonałość obrachowane wychowanie w rodzinach, będzie zawsze lepszem przez to, że nie wytwarza owych braków ciężących na przyszłym życiu sierot: obecności w stosunku do ludzi, nieznajomości życia i jego stosunków.

Drugą z kobiet, zabierającą głos, była lady Verney, a rozbierała ważny przedmiot skutków zbyt wielkiego rozdrobnienia posiadłości ziemskich. We Francji, gdzie podział ziemi jest największy, lud żyje najnudniej, kobieta pracuje ciężiej niż gdzieindziej bydlę—wół lub koń, których utrzymanie jest na małych gospodarstwach niemożliwem. Pożywienie, odzież rodziny jest najlichsza, jak tylko można. To samo dzieje się w Prusach: 83 na 100 osób stanu wieśniaczego nie płaci tam państwu żadnych podatków z powodu biedy swojej i gospodarstwo rolne przynosi tam krajowi najmniejsze korzyści w przedmiotach płodów ziemi. Norwegia, była dotąd uważana za kraj naj-

częśliwszej produkcji, co jednak poczęło się ruinać w miarę zwiększającego się podziału gruntów na działki drobne. Angielscy ekonomiści czynili w tym kierunku doświadczenia praktyczne na mniejszych i większych działach ziemi zarówno dobrze gospodarowanych i cyfry wykazały wielką różnicę na niekorzyść własności małych. Lady Verney opracowała przedmiot bardzo troskliwie, zebrala mnóstwo pouczających i niewątpliwych przykładów, zyskała też sobie wielką uwagę słuchaczy i następnie podziękowanie ze strony przewodników Stowarzyszenia. Do jego zarządu, do jego narad organizujących kobiety nie są jednak przypuszczone—nie mają tu głosu.

— Promotorką podziękowania przesłanego Gladstone'owi przez kobiety irlandzkie, za uczciwe zajęcie się sprawą ich ojczyzny, za uczciwą chęć możliwego wynagrodzenia krzywd, jakich dopuściła się na Irlandyi dawna Anglia, jest miss Skeffington Thompson, znana w literaturze irlandzkiej pod przybraną nazwą „Meluzyna.” I ona, podobnie, jak lady Florencia Dixi, jak Parnell, jest Irlandką, tylko przez stronę macierzyńską, ale matki też właśnie tak przelewają uczucia swoje w pierś dzieci, że można powiedzieć one są rodzicielkami ich uczuciowości. Miss Skeffington stała na czele deputacji kobiet irlandzkich, które przywiozły Gladstone'owi do Hawarden (wiejska jego posiadłość), adres dziękczynny opatrzony w 500,000 podpisów. Podamy wkrótce część przemowy mianiej tam przez nią do Gladstone'a.

— W Anglii zawiązało się kobiece stowarzyszenie zakładania po wsiach i w pobliżu wielkich fabryk sklepów współdzielczych i jeden z nich, jako wzór i próba, został założony w miejscowości Hackthorn przez należącą do stowarzyszenia Mrs. Cracroft. Towary, a są one rozmaite i odpowiadają niemal wszelkim potrzebom miejscowej ludności, są, jak we wszystkich innych sklepach, sprzedawane za gotówkę i po cenach zwyczajnych, jakkolwiek niewysokich i uczciwie obliczonych, tylko każdy ze stałych nabywców ma swój osobny rachunek, utrzymywany przez zarząd sklepu i w końcu każdego kwartału, po ogólnem obliczeniu wydatków i dochodów, otrzymuje na niego przypadającą część czystego już zysku. Ludność uważa te pieniądze jakoby darowane sobie i zachęca to ją do nie zwracania się z zakupami gdzieindziej, zatem stowarzyszenie ma przed sobą wszelkie widoki powodzenia.

— Królowa Angielska ozdobiła orderem Korony Indyjskiej, wicehrabinę Georginę Cross, żonę sekretarza stanu w Indyach, za filantropijną i chrześcijańsko-siostrzaną jej działalność w celu dźwigania oświaty i moralności kobiet indyjskich, zwłaszcza w kastach niższych, upośledzonych.

— Włoska *La Donna* donosi o zacnym czynie Włoszki, Giuseppiny Cavalleri, która w 1881 r., założyła w Tunisie dom przytułku dla dzieci i tak szczęśliwie go utrzymywać, działalność jego rozwinąć potrafiła, że obecnie miesi się tam 300 biednych dzieciaków, które żywi, okrywa, pielęgnuje ich zdrowie i uczy czytać, pisać, rachować i różnych potrzebnych robót ręcznych. Dzieci te zostały po największej części zebrane z ulicy.

— W Nowym-Yorku 15,000 kobiet, robotnic fabrycznych, pobierających tygodniowo po 8 dolarów, urządziło bezrobocie, które przetrwało dwa miesiące czasu. Najpierw partya złożona z 250 kobiet zażądała podwyższenia płacy, co zostało im odmówionem i wtedy nastąpiło ogólne porzucenie roboty, z warunkiem nie powrócenia do niej dopóty, dopóki żądaniu ich nie stanie się zadość. Tak zwani *rycerze pracy* (Knights of Labour), to jest stowarzyszenie działające jakoby na

korzyść robotnika, gdy jest wyzyskiwanym przez pracodawcę, wzięło ten legion kobiecy w opiekę, utrudniając zgodę. Ale żywienie i utrzymanie tak znacznej liczby osób nie było rzeczą łatwą; gdy wydano milion dolarów, a strona przeciwna nie ustępowała, opiekunowie cofnęli pomoc swoją i biedna, z wszelkich własnych zasobów do ostatka ogołocona rzesza, musiała nakoniec kapitulować. Byłaby przystała na niższą nawet płacę, niż dawniej pobieraną, ale postąpiono uczciwie i przyjęto je na dawnych warunkach.

Z KSIĄŻKI: „ŻYWE SŁOWA“

ZOFII PODLIPSKIEJ

Przełożył z czeskiego

MIRIAM.

Własna ziemia.

Był raz człowiek biedny, wyrobnik rolny, smutny i stroskany zawsze; pracował ciężko, więc niczego się nie dorobił i w życiu swem, tak jak wielu współtowarzyszy jego doli, mógł naliczyć mało radości, a dużo trosk i trudów. Tylko, że on nie zamknął istnienia swego w kole toczących się z dnia na dzień wydarzeń, myśli jego biegły gdzieś w dal, ku innym jeszcze sprawom i nadziejom, dały się gdzieś ku marzeniom rajskim o szczęściu i dobru wszystkich. Towarzyszyła mu nieustannie tęsknota tej pokusy, że jednak świat mógłby się przeinaczyć i zmienić na lepszy, szczęśliwszy...

Wiedział on jednak, że to marzenia są tylko, i nic więcej, że wszystko musi być tak, jak jest, że nie zmienić, ani polepszyć się nie da. I życie płynęło mu w ciasnem kole pracy powszedniej a ciężar jego zwiększał się z czasem i starością.

Chciałby był przynajmniej nie myśleć, ale próżne wysiłki! Nie można wydrzeć sobie zpod czaszki tego co tam jest, lecz teraz myślał już tylko o tem, jakby dojść przynajmniej do kawałka własnej ziemi.

Ten kawałek ziemi stał się nieopuszczającym go nigdy pragnieniem, które dręczyło go we dnie i w nocy, budziło setki smutnych pożądań.

Było to jak choroba, i wabiło tajemniczym szeptem, aż ku czarnym progom zbrodni. Niekiedy, aż bał się sam siebie i wyrzekał w duchu: — Boże! zlituj się nademną! bo coś stać się ze mnie może? A jednak, czyż ziemia nie należy do wszystkich ludzi i czyż to występki jest, że chce mieć kawałek własnego gruntu?

Jednego razu wracał z pola do domu spocony i zmęczony, lecz jak zwykle myśli krążyły mu w głowie posępnym lotem nietoperzy.

Zadziwił się też, że nie widzi łuny ognia palącego się na kominie, że żona nie przychodzi, jak czyniła to zawsze, odebrać od niego ciężkich narzędzi jego pracy.

Wszedł do izdebki i ujrzał żonę nieżywą, leżącą martwą.

Ból odegnął na chwilę wszystkie inne troski i myśli. Łał łzy i tak wyrzekał, że słyhać go było we wsi całej. Ale cóż to pomoże? Trzeba było pochować nieboszczkę, spuszczone ją też do grobu w głąb ziemi i on przysypywał ją sam ciepłem okryciem urodzajnej gleby.

Po pogrzebie poszedł do roboty. Wieczorem gdy wrócił, poszedł odwiedzić nieboszczkę. Siadł na grobie i krzyknął nagle:

— Ta ziemia tu moja jest przecież! Tak, mam dziś ten kawałek ziemi, którego pragnąłem, choćby był najmniejszy, jakim mawiał.

— Lecz za jakąż to cenę dostał mi się? — dodał i zapłakał na głos.

Siadywał na tym kawałku ziemi własnej, skoro tylko miał trochę czasu, lecz teraz myśli już nie niepokoiły go, nie trwożyły jak niegdyś. Płynęły wolno i spokojnie pod pomarszczonem czołem.

Teraz dumal i rozmyślał tylko o tem, za jaką to cenę nabywamy własność, za jaką ją utrzymujemy, i jak ku niej dąży przecież każdy człowiek.

Skrzydłaci męczennicy.

Palik się dwór i jego zabudowania!

Ludzie uratowali się na szczęście, i dobytek odwiązany od żłobów wyprowadzono na okólnik; nakoniec wyniesiono i cenne rzeczy z mieszkania.

Mieszkańcy dworu stali opodal i patrzyli z ciężkiem sercem, jak płomienie pochłaniały im dom rodzinny. Konie i bydło przed tem zaniepokojone, pasło się teraz spokojnie.

Psy biegały wkoło, wyły, i nie podobna było ich uciszyć. Wtem zajął się gołębnik wpośród podwórza.

Gołębie wyleciały, jak różnobarwno-biała chmura; lecz nie odleciały daleko.

Powróciły znowu, krążyły do koła płomieni, zdawało się, jakby z niemi walczyć chciały.

Nie dbały, że płomienie paliły im skrzydła, że je oslepiały. Przeciwnie, krążyły coraz cieśniej, coraz bliżej, w koło siedziby miłości swej, wkoło rodzinnego domku swego.

Potem wleciały prosto w płomienie i znikły.

— Na Wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem przybyły następujące nowe dzieła sztuki, a mianowicie: obrazy, F. Cichockiego: Kwiciarka, Sielanka, Na pacierzach, Pensyonarki, Muzyk. M. Trębacz: Żebrak pod kościołem. M. Stenzla: Znużona, Portrety. Z Andrychewicza: Martwa natura. Anny Bilińskiej: Cyganka, Portret dawny, Głowa kobiety, Żebrak. F. Wastkowskiego: W lesie, Cholewianka pod Kazimierzem, Droga do wsi. W. Szymanowskiego: Wspomnienie maskarady. K. Górnickiego: Góra Maryi nad Niemnem. St. Heymana: Portrety. Al. Swieszewskiego: Jezioro Aronzo. A. Taliańskiego: Jeszcze jest. M. Dulebianki: Zasmucona. J. Kausika: Głowa kobiety. W. Łosia: Z polowania. A. Kędzierskiego: Pastuszek. E. Dukzyńskiego: Zoraida. Bujakiewicza: Powrót z Targu. M. Bardzkiej: Dwie głowy męskie. W. Gersona: Szlachcianka z XV wieku. J. Ejsmonda: Na dniówkę. F. Pszorna: Przed zachodem. St. Lentza: Medytacye. J. Zuberka: Mały filozof. E. Perlego: Głowa kobiety. St. Grocholskiego: Przerwana modlitwa. Jana Rosena: Przegląd wojska w r. 1823. Rzeźby: portret A. Modejskiego: Strzelec Tatrzański. L. Mularskiego: Lirnik. Jana Kryńskiego: Portret.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tytułem: *Jaskółka*, przez Remigiusza Gourmont.

TREŚĆ. Kilka słów o Kobiecie Łużyckiej, przez Melanię Parczewską. — Zabawa dla dzieci w Zoologicznym ogrodzie Warszawskim, przez M. Illicką. — Gasnąca dusza, powieść, (dalszy ciąg) przez M. Gawalewicza. — Listy z Anglii. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Z książki „Żywe słowo”, przekład z czeskiego Miriamy.

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: *Jaskółka*, przez Remigiusza de Gourmont. — 22 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 15 Октября 1886 года.